

Pejzaż

reportaż

Ile razy w życiu można zaczynać wszystko od nowa? Raz, dwa? Nie, nawet cztery. Nowakowie wiedzą o tym najlepiej. Wiedzą też, że zaczynać trzeba razem, inaczej się nie uda. Była więc wspólna Jamna, a potem Maciejowa. Aż wreszcie usłyszeli, jak Banica zachęca ich, żeby zostali.

Na początku jest droga do nieba.

Pędzi się pod górę wąską szosą przez las, by nagle z zieleni choin, przyprószonej siwizną mrozu, wskoczyć wprost w chmury.

Pod błękitem lub czerwienią, zależnie od pory dnia, widać tylko drewniany przystanek, na którym rzadko ktoś stoi, bo autobus to tu nieczęsty widok, i zielone drogowaskazy. Kiedyś były drewniane, niczym te z bajki: w lewo - dobro, w prawo - zło.

Piekło-niebo, do wyboru: upadły PGR albo stara lemkowska wioska. Ostatecznie obie drogi i tak utykają w wyludnionych wsiach.

Po pierwsze: początek

Początek był niedaleko stąd, o jedną dolinę ku północy.

Tomasz - od małego mieszkał w Gorlicach. Jolanta - w Brzesku.

On pracował w fabryce maszyn, jak prawie wszyscy.

Ona swoją dość szybko spłotła z górami.

W Beskidzie, w baczówce turystycznej na Bartnem, spotkali się pierwszy raz. Był osiemdziesiąty rok.

Jola pracowała w kuchni; Tomasz, turysta, przyszedł pod Mareszkę z dziewczyną. Po tygodniu wrócił, ale już sam. Do Joli. Dostała go na Mikołaja, szóstego grudnia. Może spodobał mu się jej śpiew?

To było poświęcenie. Pekaes dojeżdżał tylko do Ropicy, a stamtąd na piechotę w górę było czterdzieści kilometrów.

Wydreptał sobie ślub.

Po drugie: Jamna

Kilka lat później - to już Pogórze Rożnowsko-Ciężkowickie. Dopiero co stanęła tam baczówka PTTK, podobna do tej z Bartnego.

Zaczynali od zera. Nie było pralki, pościeli, lodówki. Ani w schronisku, ani w sklepach.

Nie było nawet okien. Dostali etat jako gospodarze: pensyjka niewielka, ale pewna i stała.

Pierwsze lata darowane od losu: cisza, spokój, mało turystów. Jeśli nie przyjechali znajomi, to nikogo więcej nie było.

Ślub był na Jamnej - w osiemdziesiątym trzecim.

Pokoje z widokiem na Tatry, a od zachodu na morze. Tak nazywali jezioro.

W ogóle fajne miejsce. Do wsi - pięć domów raptem - ze dwieście metrów, ale ze schroniska, zza górki nie było widać nic. Jakby odludzie.

Tu był jeszcze sylwester w dziewięćdziesiątym pierwszym. Ich pożegnanie.

Wcześniej myśleli odkupić baczówkę, jak inne małżeństwo - tę na Brzance. Chcieli dać podobną kwotę, ale było za mało. Przejechała ją gmina, a potem uniwersytet.

Na pół roku zostali więc na lodzie.

Mieli pomysł, żeby iść na Halę Łabowską. Schronisko prowadził kolega, ale skoro jego zejście w dół się opóźniało - w czerwcu, przez

Według pani Joli każde miejsce mówi. Przyjeżdża się, popatrzy i usłysz. Tak było też w Banicy. Są pewni, że przemówiła do nich.

Powiedziała krótko: to tu! Wtedy wiedzieli już, że ich Banica to tylko kwestia czasu.

Po czwarte: Maciejowa

To jeszcze Gorce. Baczówka taka sama jak inne. Już bez etatów, tylko w dzierżawie.

go lutego dziewięćdziesiątego siódmego.

Dokładnie o czternastej stanęła w ogniu.

Był tu wówczas syn Jędręka, kolega i telefon na korbkę. Zanim przyjechała straż, zanim wyrąbała przerebel, nie było co gasić.

Została tylko jedna osmolona ściana.

To tego popołudnia sto trzydzieści kilometrów z Maciejowej

Pani Jola mówi, że wtedy po raz kolejny należało odtańczyć tancie Greka Zorby i zacząć wszystko od nowa. Na załamywanie rąk szkoda było czasu. Nie mieli nic, prócz Madejowej.

A ta była przecież pracą, a nie domem.

Po szóste: zwierzęta

Prócz wilków, które gdzieś tu przemykają, na Banicy są też udomowione.

Kiedyś zatelefonowali ludzi: potrzeba trzydzieści miejsc. Byli na dorobku, z chęcią brali każdego.

To była „sektka Majkela”. Zbudowali ołtarz, jeden ich „święty” był w turbanie. Modlili się do niego, pieśni spisane były fonetycznie. Zapłacili z góry.

W ogóle, źle im z oczu patrzyło, a przywódca wyglądał na hochsztaplera. Od samego rana twierdzili, że wypędzają duchy.

Pani Jola nie życzyła sobie, żeby wyganiali te jej...

Po ósme: duchy

Widziało je wielu gości. To nieodłączna część Banicy.

Podczas pożaru ściana północna, od strony nagrobnych krzyży, była mocno osmolona, ale przetrwała.

Dziwne. Na przeciwnym wzgórzu miał być w czasie wojny lazaret.

W dwóch pokojach ponoć straszny. Tego roku na Wszystkich Świętych został tu tylko syn. Nie zapalił znicza na mogiłach. W nocy miał sen, że wiarusy go opieprzyły.

Kiedy już tam poszedł, wiało strasznie, ale świece nie gasły...

Też dziwne.

Niedawno spała tu kobieta. Planowała być tydzień, wytrwała ledwie noc. Powiedziała, że się boi, mając świadomość, że w promieniu kilku kilometrów nie ma żywej duszy.

Mimo że Banica była pełna. Bo niewątpliwie czuć tu czyjąś obecność.

Gospodyni mówi, że to „chłopak” z cementarza. Ale to dobre duchy... Mają ich w swej opiece.

Po dziewiąte: teraz i zawsze

Życie nie jest tu wcale łatwe.

Czasem przez noc potrafi dowalić tyle śniegu, że nie da się wyjechać. Czasem leży on potem równo sześć miesięcy. Czasem przez tydzień miejsce to spowija mgła.

Ale nie wyniosą się stąd. Chyba że nastawiają wokół Macdonaldów. Męczą się w ludzkich skupiskach. Wtedy Tomasz kupi łódź i będą żeglować.

To jeszcze jedno jego wielkie marzenie. A na razie kleją pierogi i robią nalewki. Jest na nie specjalna piwniczka z drzwiami, tak niskimi, że uczą pokory.

Kiszą kapustę i pichcą przetwory na cały rok - dla gości. Pięką chleby na liściach kapusty.

Tempo życia jest tu inne niż w mieście, chociaż nie ma wolnego czasu. Na zimę przygotować trzeba czterdzieści kubików drewna.

Znów nauczyli się siebie. Bo gdyby równocześnie zwątpili, Banicy by przecież nie było.

Po prostu: jest tu pięknie. Mówią, że są u siebie, choć dla tych z Krzywicy czy Wołowca - nigdy nie będą swoimi.

Niektórzy mówią, że to już nie ta sama Banica, co przedtem.

Bo nie śmierdzi xylamitem. I nie da się spać na podłodze.

A nie da się, bo to już nie schronisko.

To po prostu gościniec...

MIOTR SUBIK
Fot. autor

Droga do domu

Niektórzy mówią, że to już nie ta sama Banica, co przedtem. Bo nie śmierdzi xylamitem. I nie da się spać na podłodze. A nie da się, bo to już nie schronisko. To po prostu gościniec...



przypadek, byli już na Maciejowej.

Po trzecie: tamta Banica

To już Beskid Niski, na południe od Gorlic. Droga może ze dwadzieścia kilometrów.

Administracyjnie Banicy nie ma. Administracyjnie jest Krzywica.

Przed wojną było tu ponad sześćdziesiąt numerów, stała szkoła, a Żyd miał karczmę. Po wysiedleniach zostały drzewa owocowe, chałupiska zarośnięte pokrzywami, piwnice, kapliczki i krzyże.

Cmentarz żołnierski, a pod przeciwnym stokiem - stary parafialny.

Z drewnianej czasowni, prawosławnej świątyni, została tylko blacha.

Trzydzieści lat temu w jednej z dwóch zachowanych chałup urządzono schronisko studenckie - „Almaturu” z Lublina. Duże sale, bez łóżek, wody - wygód w ogóle żadnych. Studenci zakonserwowali drewno xylamitem, niczym słupy energetyczne lub podkłady pod szyny. Śmierdziało niesamowicie.

Smród zmieszany ze spartańskimi warunkami - tworzył klimat starej Banicy.

Dawała schronienie turystom przez ponad dwie dekady. Wreszcie trafili tu Nowakowie.

Godzina szlakiem od Rabki.

To nie był szczyt marzeń, a tylko pewien etap w życiu, który pozwolił dojrzeć do pomysłu wyniesienia się na zawsze w Beskidy.

Jola płakała, bo ruch był straszny: nie dało się nadążyć. Cierpliwie jednak kleiła pierogi i nadziewała naleśniki.

Bo Banica wyrosła dzięki tym pierogom i wafelkom, które kupowały wycieczki z dziecięcего uzdrowiska.

Słynęli z dobrej kuchni.

Samotny dom za Gorlicami odkryli dla siebie w dziewięćdziesiątym szóstym. Usiedli na kamieniu i już wiedzieli, że to to. Użyli wszelkich argumentów, by wygrać przetarg.

Odtąd on był w Beskidzie, ona wciąż w Gorcach. Wzięła na siebie ten trud, bo potrzebowali pieniędzy.

Tomasz gnał tam dwa, trzy razy w tygodniu, by pomóc, bo do baczówki docierało się tylko terenówką, a zimą na skuterze śnieżnym. Ktoś musiał robić zaopatwienie. Czasem zasypiał za kierownicą.

Wytrwali tak pięć lat: on tu, ona tam. Odzwyczaili się od siebie. Kiedy się spotykali, aż głupio było się kłócić.

Banica tymczasem piękniała w oczach. Aż do dziewięte-

Tomasz pokonał w rekordowym czasie...

Po piąte: dom

Dawniej to była zwykła lemkowska chałupa. Ostatni gospodarz nazywał się Śliwa. Rolnik z prawdziwego zdarzenia.

Nawet przyjechała niedawno jego córka: pooglądać.

Tu, gdzie jest izba z kominem, mieściła się obora. Solidna: z kamienia łączonego na glinie.

Nad nią część gospodarza: boisko i strych. Z drugiej strony mieszkalna: kuchnia i pokoje.

Na strychu magazynowano siano.

Potem, podczas odbudowy, trzymali tam materiały. Wszystko poszło w dymem.

Na ocalałej ścianie ktoś wysmarował na czerwono: „Zemsta Stacha Pusta Flacha”.

Napis uznali za głupi dowcip, nawet nie zgłaszali policji. Trzy lata walczyli o odszkodowanie, przyczyn nie dociekali. Udało się.

Straż napisała w papierach, że to nieszczelność komina.

Ale mistrz reiki powiedział im o energiach. Że w domu nagromadzona była zła, że Nowakowie przynieśli dobrą.

Zderzenie tych sił sprawiło, że wszystko spłonęło.